



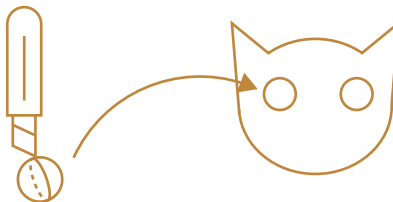
MIEJSCE NA ZWIERZĘ

CEGLA ²⁵
ZWIERZĘ
RZĘTA

Zaprojektuj i wykonaj własne zwierzę, przyklej je na okładce.
Zrób zdjęcie swojej okładki i prześlij na adres redakcji:
redakcja@magazyn-cegla.net



1
wycinaj potwora



2
przetnij ping-pong
na dwie części

3
wklej połówki ping-ponga
w miejscu oczu



4
przyklej potwora do okładki



5
dodaj szczegóły według uznania



Bruno Lef Lewin

CEGKA 25
ZWE
RLETA

Z PIW- NICZY

KAROL MALISZEWSKI



Antek Wajda
WĘŻE

MÓJ BOŻE, TE OBRAZY TO PODWÓJNE DNO
PODRÓŻE KULINARNE: ZASKRONIEC Z CEBULKĄ
2003



Coraz większe jaszczurki w piwnicy,
podaję je w wiadrze sąsiadowi,

nie wiem, co z nimi robi;
należy ufać temu,
który płakał za psem.

Może to one robią z nim
coś dobrego, budują za płótem
wspaniały świat;

może już rządzą porami roku,
biciem gałęzi jabłoni na alarm,
krzykiem traw.

Może to oni po sąsiedzku.

PIŁE-
KONCZA-
CA
SIE
OPR-
WIEŚĆ

KAROL MALISZEWSKI

1

Ten koń nigdy jeszcze
nie był w operze,

tak się złożyło,
ciągle było coś do ciągnięcia,

poza tym czułby się skrepowany,
nie wpuściliby go razem z wozem
i bez smokingu,

ale któregoś dnia
zasiądzie między nami,

w pierwszym rzędzie.

nie wiem co robi w tym czasie
przyjaciel człowieka

jaką wykopuje kość i co przynosi
w smutnych oczach

bóg tańczy albo raczej majaczy
jest wspólny i podnosi kratę

wychodzący na wolność
nikogo nie widzą

bo się usunął
jeśli jest naprawdę

a potem te wszystkie stworzenia
tulą się bez słów

2

Ten słoń nigdy jeszcze
nie był w kościele,

i tak dalej.

Te wszystkie stworzenia

Gesty rozpaczy niewątpliwie bliskie
a te groby dalej jak wyrzuty sumienia

taki jest koniec krwi
i kości wystawionej na wiatr

niewprawne usta
wydobywające jednostajny dźwięk

niektóre języki mówią na to
wieczność.

Z MŁT-

AGNIESZKA WOLNY HAMKAŁO

DUBŁE

Ingeborg opowiada psu swoje drugie życie.
Celan tłumaczy Joyce'a, co za paranoja.

Ingeborg robi mu laskę w łazience
(dozgonne flaszki za recenzję, serce).

Wyjaśniał jej boga na zimnej podłodze.
Nie była pewna, czy używać zdrobnień.



Antek Wajda
PSY RASOWE I PODRASOWANE
2002/2003

YWE M

ZRÓB
M
KAWĘ
I WOL
M
SPACER

Rano, po stoczeniu jałowej dyskusji z psem
zaliczyłam głębokie zanurzenie, żeby tę noc
przeżywać w nieskończoność. Gołąb w łazience
(dostał się tu przez okno?), piasek w swetrze,
pełny pępek i różne prośby miłosne to stanowczo
za dużo, żeby wstać, rzucić palenie i wziąć udział
w biegu z jajkiem. Serio. Po drugiej stronie
czeka świeży oddech, srebrny rdzeń waty
cukrowej i dmuchane zamki na plaży.
Ale co tam, skoro mogę leżeć na plecach
rozpieszczona, a ty będziesz mnie przechodził
jak lekką grypę i jeden z twoich noży
będzie się ciągle otwierał
w kieszeni pełnej zwiru, mchu

PSA:

DWA-
DŁĘŚCIA
JASNYCH
DŁĘW-
CZYŁEK

Jeszcze ten pies, jego gumowe usta
i srebrne w sierści kleszcze. Oboje
drzemiecie w trawie, a pionowe chmury
jak białe ogórki włożą wam do rękawów.
O 16.00 musisz odbyć nietrzeźwą psychoterapię
z madame Żużu, której matka żyła w Kongo
a ojciec był koniem (bardzo mocny materiał).
Odkrył dla niej miechunkę rozdętą
z błyszczącą dwukomorową jagodą wielkości wiśni.
Bo zimą już tylko biały bez
mrożone tulipany z automatu.
I on – jako zwiastun nieprzespanego snu,
w którym gubisz się w mieście
i znajdujesz w hotelu na środku dywanu
sztuczne kwiaty.

MEŁY
SŁY-

MARIUSZGRZEBALSKI

JA SŁY

kiedy szukam miejsca
na pomoście.

TYŁKO
KARAREK
WYOLIAŁ

jak o świcie wyjmowałem
drobne ze skarbonki.

MARZEC 2012

MARCIN ŚWIETLICKI



Antek Wajda
PSY RASOWE I PODRASOWANE
2002/2003

Nie ma nikogo prócz psa, to światło to jest mgła poranna.
Nie ma nikogo prócz psa, a to jest chochoł zrobiony z pościeli.
Nie ma nikogo prócz psa, wszystko się zapadło
aż pod przeniebowanie. Nie ma nic prócz bieli.

CAŁY

W

PSIE

MARCIN ŚWIETLICKI

Cały w psie.
Cały w psie. Na czarnym
jest psia sierść, psia ślina,
psia krew.

Cały w psie.
Cały w psie. Na czarnym
widać gdzie. Widać z kim
dziś spał.

Słońce jest.
Cały w psie. Poranny
w słońcu strach.
W słońcu lęk.

WIER- NE



KONRAD GÓRA

Antek Wajda
MEANDRY SZTUKI ŻŁA
ZIELONA SARNA
2003/2004

Winne wszystkiemu, dziecko rojące,
że serce jeża także jest kolczaste –
a jego serce jest ścięciem derki,

pod którą chłopczyk, dziewczynka właśnie się
brandzłują: język im puchnie tłumieniem śmiechu.
A język jeża będzie kolczasty.

MAŁPKA
I MASKA

Z AAAAA
WYRSZCZYŃSKIEJ

KONRAD GÓRA

Płonie makak we fryturze palmowej.
Śwecimy sobie jego oczami. Takt
nie pozwala prosić o łaskę
dla nędznej małpki o dzikim szlochu.

Ale

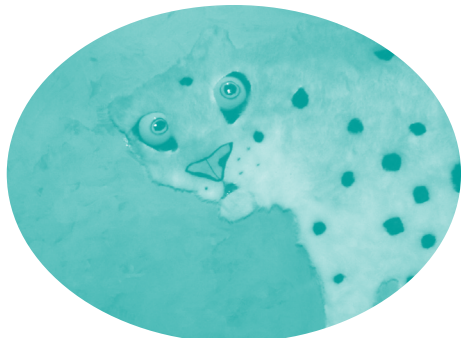
z tej małpki zostanie maska,
która na twarz wchodzi jak ulal:
małpka nie zginie całkiem bez śladu.
Wołamy Pana jej dzikim szlochem.

PSIA PO- DUSZKA

ILONA WITKOWSKA

kiedy przyjeżdżają goście, oblekam im psią poduszkę. nie mówiłam nikomu, myślałam sobie: po co? po co ktoś ma wiedzieć, że dwa psy spały, jadły, krwawiły, chorowały i zdechły, w tej samej pościeli, co ty teraz śpisz?

ale od dzisiaj chcę, żebyście wszyscy wiedzieli.



Antek Wajda
KOTY RASOWE I PODRASOWE
ŚMIAŁO PANIE LAMPARCIE
2002/2003

KLARA NOWAKOWSKA



Kotka kima, zwitek. W oczach się kurczy,
na języku rozwija. Poruszony

wąsik. Na wierzchu
pazurek.

MAGDALENA CYBULSKA

PAŃ KOT

Pod Twoją nieobecność Pan Kot zajął dwie szuflady. Teraz to jego miejsce schronienia i medytacji. Gdy nie patrzyłaś zadomowił się w nich na stałe. Bardzo cicho. Przez Twoją nieuwagę oswoił Cię. I nic mu już nie zrobisz. Czasem Pan Kot patrzy na Ciebie ze zdziwieniem w oczach. Czego Ty od niego chcesz? Przecież te dwie szuflady są bardzo małe. Mógł wybrać większą szafkę na talerze. Pan Kot ma pochodzenie arystokratyczne, a w Tobie nie płynie błękitna krew. Ty jesteś tylko elementem w jego krajobrazie. Ale wcale nie musisz być. Nie odwracaj się od Pana Kota plecami. Bo nie wiadomo, co on jeszcze wymyśli.

MAGDALENA CYBULSKA

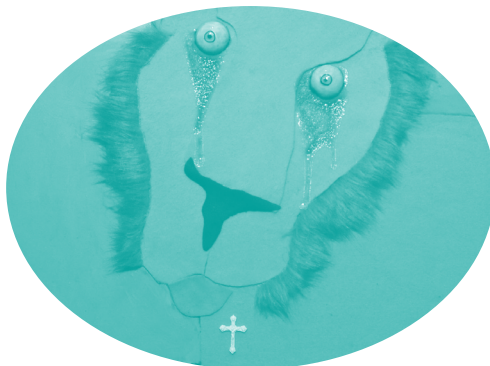


Brat Antoni hodował gołębie. Pewnie myślał, że tylko one po tej stronie mogą dotknąć nieba. Wzlatywały wysoko. Brat Antoni uważnie je obserwował, gdy krążyły nad klasztorem. Sądził, że któremuś uda się osobiście poznać św. Piotra. Niestety głodne gołębie zawsze wracały. Żaden nie zaplątał się między ramionami świętych. Głupie gołębie - pomyślał - nie wiedzą co straciły.



Przyniosłeś mi kiedyś na dnie w wiaderku małego zajączka. Bałam się dotknąć czegoś dzikiego, pachnącego łąką i strachem. Czegoś nie z tej ziemi. Miał czarne oczy, w których nie było nieba ani piekła. Nie chce obudzić się nigdy w ciele zajączka.

RADOSŁAW KOLAGO



Antek Wajda
KOTY RASOWE I PODRASOWE
2002/2003

Kiedy na dobre zaryglowano sedna,
ścigną ostygły. zabiłiśmy ostatnie ze zwierząt;
teraz miał być mróz, troskliwe zacieranie ścieżek.

Zapomniałem ciepło: włosy ciężkie i długie
przedłużały zorzę, a zorza jaśniała i wiodła.
Teraz była noc, pogodne zanikanie włókien.

Gdzieś jeszcze miały być ptaki, miało być jasno,
mówili starzy zanim odeszli w bryły i sople.
Jeden blask to ten od nas, dawne blizny jak pióra.
Teraz będzie cisza, godne dogasanie wierzeń.

Szybka kolej z podwórek nieśmiertelność
na hektary umieralni, polany kompostów.
Trafiają tu drogowskazy opadłe z sił,
zużyte zabawki, bydło, które utraciło
status świętości.

Przez zatoki i lustra uciekła dusza.
Możemy już nosić rogi i kopyta
bez obawy przed karą – szczerłość
instynktów jest prosta i łatwa
jak rany klute (właściwie nigdy
nie powinniśmy byli przestać ryczeć,
mowa to nieudany eksperyment).

Patrzy na nas z ambony czujny capo,
Pan Bóg. Ma oczy na szczycie lufy.
– Nie uciekaj – mówi – dopędzi cię
zbawienie. Na początku było słowo,
teraz Winchester, ekumenizm
w doborze kalibrów.

Z urzędu należy karać kłusownictwo
demiurgów, ruszają więc patrole,
szpicle i Kapitan Żbik. List gończy
blaknie, suki w terenie, ale stwórca
nie ma papilariów.

Jedyna poszlaka, dowód rzeczowy
numer trzy: modus operandi to proch.

RADOSŁAW
KOLAGO
ZŁA
RADOŚ-
NYCH
ŁŁŁŁ

RADOSŁAW KOLAGO

MARCIN BARAN

OTWIER- RANIE SŁOIKÓW

Moja dziewczyna przegryza mi usta jak śliwki, pękają pod jej zębami, wilgotne i ciemne. Moja dziewczyna nie lubi być dotykana, trzęsie się wtedy jak posiniaczone dziecko albo małe, przestraszone zwierzę. Karmię ją z ręki i myję jej długie, ciężkie włosy. To nasz brzydki rytuał, wstydlivy szamanizm. I patrzą na to dzieci, których ktoś nie wyprowadził w porę. Ślina i popiół, ślepe sny o bliskości. Kolejne stadium gorączki. Próbuję kłaść jej dłoń na czole, twarde i zimne jak kamienie, zdychamy oboje pod stosem futer, koców, pod stosem wszystkiego. Spójrz, jaki jestem silny, pozakręcałem wszystkie słoiki, żeby schły w nich owoce. Moja dziewczyna jest rozczarowana, bo przegryza mi usta jak śliwki, a w środku nie ma pestek. Nie ma miłości wewnątrz moich ust. Nic z tego nie wyrośnie.

RA LAJA- CZKA!

ROBERT RUSIK

Głuche, rytmiczne drżenie wyczuwało się coraz wyraźniej. Kogut, wyciągnąwszy jedynie słuszny wniosek, schował się za najbliższym drzewem. Zbliżał się niedźwiedź, zdecydowanie zbyt wkurzony jak na świeżo upieczonego ojca.

„Coś musi być w plotce, że jego dzieci miały zbyt długie uszy i puszyste ogonki” – pomyślał kogut. Pochylił głowę, lekko kurcząc się w sobie, bo zza zakrętu wyszedł zgrzytający zębami miś. Kogut z przerażeniem zauważył, że odgłos tupania ustał. Ptak poczuł, jak coś strasznie mocnego ściska jego szyję i po chwili znalazł się na wysokości głowy niedźwiedzia.

Pełna zębów paszcza rozwarła się złowieszczco, charkoczący głos oznajmił:

– Od przyszłej Wielkanocy pisanki roznoszę ja!

RA-
TŁŁŁ-
MY

CB
SŁŁ
DA

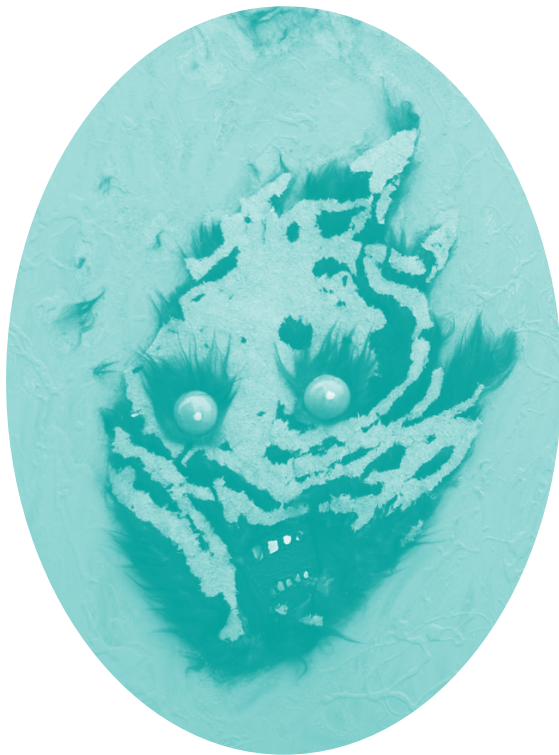
MARTA JURKOWSKA

świt przemyka przez chudy grzbiet nocy,
z krajobrazów znikają amazońskie lasy
i czarne dzikie koty.

pustoszeją morza, rzeki, oceany,
gasną serca wielorybów niczym
zanurzone pochodnie, w dymie
umiera potężne cielsko miasta.

odlatują sójki, wróble
i białe kruki, w pustych zagajnikach
świergocze wiatr, wczepia się
w korzenie, w splewiałe grzywy traw.

w piasku upalnego lata
zostaną tylko ślady.



Antek Wajda
OBRAZY POSTFABRYCZNE
2008

MARTA JURKOWSKA

RA RATUŁA - EK

jej syn karmi ptaki, sypie ziarno
i czeka na słoneczne brzuchy sikorek.

zamiast nich nadciągają ciemne chmury
wron z okolicznych śmietników.

ich czarne pióra wbijają się w śnieg
kiedy samochód nie trzyma drogi na zakręcie.

później zobaczymy to w szybie telewizora;
ratowniczy helikopter, chwila gdy
podrywają się do lotu

zakrwawione kamizeli gili.

ARKTYKA

MARTA JURKOWSKA

to miejsce przypomina podarte żagle,
ślady pingwina, zmieloną w oczach sól.

słońce za horyzontem kuli się niczym
ogon lisa, niebo chłodną ręką rzuca

zimny kamień księżycy. chciałabym
dotknąć wody, otworzyć usta morzu,
uwolnić krzyk pękającego lodu.

w kwietniu na świat przychodzą młode
foki. matki rodzą je pod śniegiem,

najbardziej surowy krajobraz
chowa się w pysku niedźwiedzia



Antek Wajda
SĄ RZECZY KTÓRYCH NIE MA
2003

SABINA WASZUT

Tego, jak naprawdę miała na imię dowiedziałam się w dniu jej pogrzebu. Pamiętam, jak ze zdziwieniem wpatrywałam się w litery widniejące na tabliczce przybitej do prowizorycznego krzyża.

ŚP. Marta Bednorz

Miałam ochotę zaprotestować. Przecież dla nas, mieszkańców kamienicy przy Sempołowskiej 6, od zawsze była po prostu Mariką od Kotów.

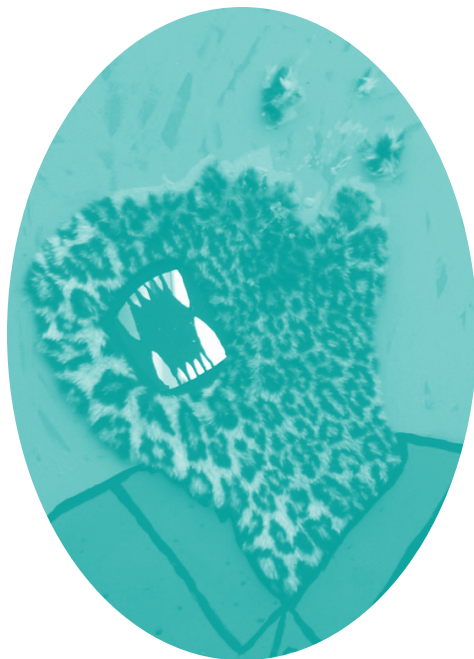
Czasem wołano na nią ze śmiechem, czasem ze złością, najczęściej w marcu, gdy przez kocie śpiewy nie można było zasnąć przy uchylonym oknie. Ale ta złość nigdy nie była prawdziwa. To przecież takie naturalne. Mleko w miseczkach, sardynki na spodkach, kocie łapy na karoseriach, nielicznych jeszcze wtedy, samochodów. Marika była opiekunką wszystkich włóczęgów z okolicy - Mruczków, Łatek, Murzynków. Zawsze każdego wołała po imieniu, dla każdego miała czas. Do niej łąsiły się nawet te dzikusy, które nas, dzieci grające w sznura i klasy, omijały szerokim łukiem.

Kamienica pełna była opowieści z Mariką i kotami w głównych rolach. Pamiętam tę o kilkumiesięcznym niemowlaku, którego mama zostawiła w wózku na podwórku i poszła wieszać pranie. Gdy wróciła, obok wózka leżała jedna z kocic. Ponoć syczała na wszystkich, próbujących zbliżyć się do dziecka. Pamiętam też, że w naszych piwnicach nigdy nie było gryzoni. Ziemniaki i mamine przetwory pozostawały nietknięte.

Wydawało się, że nigdy nic się nie zmieni. Marika w nieodłącznym kwiecistym fartuchu i rozdeptanych pantoflach co rano będzie nalewała mleko i wykladała kąski z własne-

go obiadu. Ale czas płynął. Ja wyrastałam z podkolanówek i plisowanych spódniczek, a babcia pochylała się coraz niżej ku swoim podopiecznym.

Miałam siedemnaście lat, gdy pewnej październikowej nocy Marika od Kotów zmarła.



Antek Wajda
UWAGA!!! WYPADEK
OBRAZY POSTFABRYCZNE
2008

Minął tydzień, w mieszkaniu pani Marty pojawili się obcy ludzie. Wiertarki i młotki hałasowały nieustannie. Na podwórko wnoszono stare meble, kwieciste fartuchy zawisły na brzegu śmietnika. A po tem nagle zniknęły wszystkie miseczki i spodeczki ustawione pod oknem mieszkania. Koty, zupełnie zdezorientowane, czekały, wpatrując się w szczelnie zasunięte żaluzje. Wołały Marikę do późnej nocy. Rano mój brat wystawił miskę z mlekiem, w drodze do szkoły położył na murku szynkę za swojej kanapki.

Wkrótce dzieciaki przejęły obowiązki Mariki. Z początkiem zimy zaczęły przychodzić również te koty, które w ciepłe miesiące nie odwiedzały nas zbyt często. Wtedy na klatce schodowej pojawiły się kartki z informacją:

Nie dokarmiać kotów, pod groźbą kary.

Ktoś pozabijał deskami świetliki w nieużywanych piwnicach. W nocy niejednokrotnie słyszałam zgrzyt gwałtownie otwieranego okna, ludzkie przekleństwa, odgłos kamieni spadających na chodnik i przypominający dziecięcy, płacz przerażonych zwierząt, które nagle zaczęły otrzymywać wrogość w miejscu, w którym kiedyś znajdowały tyle ludzkiej serdeczności. A mimo to przychodziły nadal. Przemarznięte i coraz częściej głodne wchodziły pod samochody, próbowały przemknąć do klatki pomiędzy nogami lokatorów.

Pamiętam ten poranek, gdy wychodząc do szkoły zobaczyłam kilka pełnych mleka misek, ustawionych pod oknem Pani Mariki. Pomyślałam, że nowy lokator w końcu dał za wygraną. Wróciłam wieczorem, w dobrym humorze, po udanym dniu. Brat wybiegł przed bramę. Wiedziałam, że coś się stało, nim dostrzegłam jego zapłakaną buzię. Szarpał mnie za ramię, abym się pospieszyła, abym zaradziła coś na jego dziecięce przerażenie.

Dwa pierwsze, do których mnie zaprowadził, leżały koło śmietników, wtulone w siebie. Następny przy piwnicznym okienku, kolejny, ten żył jeszcze, gdy się nad nim pochyli-

łam, w wąskim przejściu między domem a nieużywanymi już chlewikami. Pan Józef, gospodarz, zdążył już zabrać pozostałe. Nie miałam odwagi pytać, co z nimi zrobił. Wróciłam do domu, skostniała z zimna, które jakimś cudem, przenikając przez puchową kurtkę i gruby sweter, zmroziło cały środek. Nie zrobiłam nic. Nikt z nas nic nie zrobił. Nie było policji, nie padły żadne oskarżenia. Przecież to tylko zwierzęta, tylko głupie, bezdomne koty.

Czy miałam wyrzuty sumienia?

Czy mam je teraz, po latach?

Jeśli są nimi wspomnienia kocich pyszczków, znieruchomiałych w pełnym bólu grymasie i ogromnych otwartych oczu, patrzących wprost w nasze okna, w twarze ludzi, którzy odwrócili wzrok.

Mam ogromne.

MAGDALENA GABRYELA KRYTKOWSKA

KAWALEK WCIĘTEGO OGÓRA

dziwιάty krąg – tyle mi zostało z kota faraona
przychodził w nocy prosił – wyrzucić wszystkie skarabeusze
(ty możesz bezkarnie) boję się klątwy

pod rozłożystą lipą namawiałam chrabąszcze
by były skarabeuszami choć przez jedną noc
z szelestem wylatywały przez otwarte okna
wtedy faraon oddychał z ulgą i odchodził

coraz mniej pod lipą opadłych chrabąszczy
koty pod nieobecność faraona penetrują
nieostępne ludziom strefy dachów

nad drzwiami wiszą frasośliwe figurki
chrystusów z lipowego drewna

kiedy minie czas kotów i skarabeuszy
mumia faraona odbije w lustrze
obraz mojej twarzy

KŁ PA

HANNA JANCZAK



Antek Wajda
OBRAZY POSTFABRYCZNE
– IDZIESZ NA FAJKĘ?
2008

Piaskownice to dla niektórych rodziców siedlisko zarazek, psich kup w rękach dziecka zgniecionych jak plastelina, dziecka, które z niewinną miną wymalowaną zawsze na twarzy podchodzi, pokazuje usmarowaną rączkę, zwyczajne i szczerze do bólu: zobacz, co znalazłem mamó?

Wytwarza się wtedy jakaś wewnętrzna fala obrzydzenia, która natychmiast podchodzi do gardła i rośnie w siłę jak powódź, ale to jeszcze nic, bo trzeba złapać dzieciaka za nadgarstek, i ze słowami: nic się nie stało słoneczko, to tylko kupa! Mamusia naprawdę nie wie czy psa, czy człowieka, nie, nie spytamy tatusia, ciągnąć trochę na siłę i prędko do domu, pod kran, pod bieżącą wodę, zdezynfekować, wytłumaczyć, że brać nie wolno, nie ubabrać i nie porzygać się przy tym.

PRZY- JE- CIA

PIOTR PARULSKI

wewnątrz mojej ręki jestem psem którego głaszcze wokół niego leżą rzeczy nazywane zabawkami on je gryzł gdy ja ciągnąłem im bardziej ciągnąłem tym mocniej gryzł ręka w której jestem zaciska szczęki wokół rzeczy w zabawie

przybijałem obrazek na wysokości drzwi które traktowałem jak ścianę otwierały się obrazkiem do wewnątrz gdy jedna ręka trzymała za klamkę druga za plecami krzyżowała palce i w geście zobaczyłem obcość która wycierała buty o usta

na wycieraczce w pocałunku zdjętym z filtru kiedy jedno czekały na dole drugie na górze podrzucając zapalniczkę

KRZY- ŻÓW- KA

PIOTR PARULSKI

przytulanie się do zwierzyny wypatrującej gałęzi
spacerem przez las wykopało tętniącą kość z ciała
schylającego się po końcówki ulic które leżały niżej
aniżeli jaskrawe przebłyski na nim w łączności ze
światłem latarni która podtrzymywała noc w cieniach
drzew ociosanych na szuflady wysuwane włamaniem

sprawca stał obok i się przyglądał był w ranie grzebiąc
nerwowo w kieszeni szukając zapalniczki którą miał
na myśli jak podłoże odbitą od niego piłeczkę z fałdą
wokół białej drzazgi i podpalone włosy z zarostu

miał na myśli garaż ojca kiedy ten dokręcał wydech
i nie mówi tu o pokrewieństwie a o lesie i pogryzieniu
gdy jeden jest pod drugim obok a w środku kierownica

RACTY-

RIE

kawałek podeszwy przykleił się do skóry mokrej
po zdjęciu pokrywy z akwarium filtrującego rybę
dotykającą buta wystającym językiem przez szkło
za którym okna wylewa się więc trudno je uchylić

RA

pisząc wypracowanie oblał je dopiero co zalaną herbatą
i wrócił grzecznie do pisania spoglądając na wodę w
akwarium w którym pisał poprzednie podobno lepsze
z momentem kiedy wrócił przemoczony z podwórka

WOB-

DE

PIOTR PARULSKI

PIĘS; KTÓREGO SKRZYWOTYLEM

KAJETAN J. GENDEK

Kardynał był pięknym psem, ale ja nigdy nie chciałem mieć psa. Zawsze chciałem mieć kota, albo koty jak Hrabal w Kersku. Kardynał chyba czuł się bardzo nie na miejscu, bo po kilku miesiącach zaczął się do mnie łaścić i miauczeć. Muszę w tym miejscu zaznaczyć, że Kardynał był bardzo kocim psem, to znaczy był bardzo kocim psem nie tylko psychicznie, ale i fizycznie. Odkąd się u mnie pojawił dawałem mu jedzenie dla kotów i kazałem sikać do kuwety. Na początku było to dla niego nieco kłopotliwe, ale potem się przyzwyczaił. Niestety, Kardynał był tylko psem i dlatego kiedy dostatecznie dojrzałe wykształciły się w nim kocie cechy, postanowiłem dokończyć dzieło i przy użyciu czarnej farby w sprayu przerobiłem go na kota. Kardynał pierwotnie był jamnikiem, dlatego kiedy po pokryciu jego sierści czarną farbą patrzyłem na niego wieczorem, wyglądał całkiem jak dachowiec.

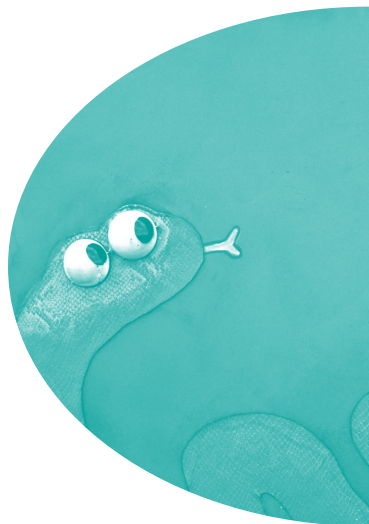
Przeżyliśmy razem przeszło osiemnaście lat. Kardynał umarł nad ranem. Podobno było to między czwartą a piątą, tak powiedział weterynarz. Zaczynała się zima. Kiedy Kardynał umierał, na zewnątrz kończyła się noc, ale nie było jeszcze poranka, to była ta dziwna pora. Latarnie czekały na to, żeby już zgasnąć, sprzątaczkі szykowały się do odśnieżania chodników. To chyba najlepsza pora na śmierć, w tej próżni między nocą i dniem, o tej dziwnej godzinie, która jest jakby wyjęta z czasu.

MARTYNA ŁOGIN

[...] jaszczurka też zrzuca łuskę
odslania ludzką skórę
wchodząc zwycięsko do jamy;
nawilża się cudzą śliną
zjada powietrze znad obojczyka

zwija się ospale, mruczy,
czego wibracje sprawiają, że guzy
zdobiące zawłasczone ściany
okazują się piórami
o lotkach budzących się ze snu

pod czułym dziobem orlicy
która wznosi się nad dżunglą
czarnej, wciąż wilgotnej trawy,
z której za dnia uciekają jaszczurki
przeżarte zawartością jam





Wajda
ŻE
03

KOT

MARTYNA ŁOGIN

Mężczyźni nigdy nie byli
przyczyną zwątpienia. To śmierć
przypomina kota leżącego na piersi.
Ociera się przyjaźnie,
bąble wyskoczą równocześnie.

Nawet ludziki z lukru
trafiają do kici. Rozpoznanie:
trzy piętra nade mną człowiek
żałuje, modli się
lub posypuje kocimiętką wspomnienia.

MARCIN BAŁCZEWSKI



Antek Wajda
POLICJAŃCI
ZEY
DOBRY
2008



MEKSY-
KANISKI
TANIEC
ŁUBOWY

Kiedy dotkniesz tutaj. Tu? Nie, nie tu. Tutaj. Spójrz. No. Tu. Łatwiej wtedy przełknąć. Przekonasz się, że przełknąć — to jest dopiero wyzwanie. Nie mogę wypluć? Nie, musisz się zmusić. Niech cię to nie obrzydzi. Naprawdę będzie dobrze. Tutaj. Tak, dotknij tutaj. Wtedy łatwiej przełknąć. Mówiłeś już to. Tak wiem. Chcę, aby wszystko poszło dobrze. Dotknij i lekko pociągnij. Będzie łatwiej. Zobaczysz, nic ci się złego nie stanie. Tylko musisz lekko się zmusić. Będzie dobrze.

Zobaczyła uchatkę. Stała i wpatrywała się w nią, kiedy ta nieudolnie próbowała przełykać. Nie, nie da się — wszystko się da. Nie mów tak. Wypluwała. Nie, to obrzydliwe. Da się. Nie. Weź przestań. Zostaw mnie. Przestań. Czy cię zupełnie pojebało? Uchat-

ka wpatrywała się w nią. W niego. Ona patrzyła na uchatkę. Na jej uchatkowe oczy, uchatkowe pazurki, uchatkowe skrzydełka i uchatkowe zęby. Zęby? Nie, uchatka przecież nie ma zębów. Prawda? To musiało być coś innego. Albo jakaś uchatka z zębami. Taka nieznana naturze. Forma cudu. Co natura tam wie? Wszystko się da. Przytrzymaj. Puść. Przytrzymaj. Mówię ci. Nie da się. Da, nie marudź. Trzymaj. Słuchaj mnie. Mogę już iść? Zostań. Nie chcę, mogę. Nie. Zamknij się. Mówilem, dotknij tu. Nie chcę — co to było, czy to uchatka? Patrzyła na mnie. Nie. Nie, głupia jesteś, tam nic nie było. Uchatka? Przewidziało ci się. Zamknij się. Daj spokój. Wszystko będzie dobrze. Uchatka. Jaka uchatka? Porębało cię. Zaczął się śmiać. Co ty mówisz. No stała tu, obok, z zębami. Zero romantyzmu. No oczywiście. Głupi jesteś. Ja? To ty nie umiesz. Wciąż się śmiał. Jakbym chciała. Tak, oczywiście. Uchu, uchu — zaczęła udawać uchatkę. — Uchu, uchu. Nie, nie mogę. Nie chcę. Nie potrzebuję. Idź stąd.

— Kup to dziś, jak zabraknie... czemu musisz czekać... daj spokój... ha, ha, ha i ona powiedziała... zrobimy jak chcesz... o godzinie osiemnastej... — wstała i zaczęła przełączać kanały w telewizorze. — Zgaś go, musimy dokończyć. Nie. Kochanie, proszę. Słoneczko. Robaczku. Teraz to kochanie? Słoneczko? Robaczku? Nie. — Podszedł do niej i pogłaskał. — No weź. Wiesz, że muszę skończyć. Nie. — Tylko dziś siedemdziesiąt procent taniej... Proszę Państwa, co za wiadomość... Nie daj się.... Ona to ma, w sobie... — kolejne kanały.

— Już idziesz? Denerwujesz mnie. Nasze rozmowy są... coraz krótsze. Głupsze? Nie, coraz bardziej... rwane. Tak. Nie. Coraz mniej pełnych zdań. Moż... Czy... Ej, ale... Po... No.. Kre... Daj spokój. To wcale nie śmieszne. Nie przesadzaj — jak to się mówi — pocałuj mnie mocno w usta. Spadaj. Idę zapalić na balkon. Pocałuj mnie w usta, tak. Lekko? Nie. Proszę. Nie, idę — Kolejny uczestnik naszej gry... Jest to coś... Bang, Bang... Spoglądała na zachodzące słońce, wcale nieromantyczny widok, zaciągała się i myślała o uchatce. Dlaczego miała takie wielkie oczy, dlaczego miała takie wielkie zęby. — Żeby cię zjeść — zaczęła śmiać się i krzyczeć. — Żeby cię zjeść — krzyczała na balkonie. — Żeby wszystkich was, kurwa, wszystkich, wszystkich zjeść.

Gdyby podskoczyła, gdyby zaczęła tańczyć. Jakby spojrzał na nią? Przyglądał się jej cały czas. Jak w majtkach stała na balkonie paląc i krzycząc, poprawiając nieoślonięty półdupek. — Co robisz? — zapytałby. — Tańczę, nie widać — Nie — zaśmiałyby się, a ona obraziła. W sumie tak dla żartu. Tak na chwilę. — Jak umiesz lepiej, to sam zatańcz. I wtedy on skoczyłyby na stół i zaczął wywijać. I podskakiwać i robić piruety, i ona byłaby zdziwiona. I tak trochę zabawne to by było. Bo nie wiedziała, że on tak potrafi. Nigdy w życiu. Że w sumie umie coś, że nie jest tylko nikim, takim, no zerem, że tańczy. Zaskakująco, frapująco, nietypowo, ale tańczy. Absolutnie niezwykle tańczy. Szalenie, pociągająco, zabawnie. Nienagannie wywija się. Lewa, prawa, podskok. Tańczy. Tańczyłyby.

Uchatka przyglądałaby się temu tańcu, szczyrzyła zęby. I śmiała. Prawie jak człowiek. Prawie jak ona. Widziałby, wiedziałaby — było to coś, coś niezwyklego, Uchatka zakochała się, zakochał się, w tańcu w tym szaleństwie. Codziennie potem wspominałaby o tym, o nim, skokach. Upadku. Papieros dopalił się.

— Jesteś głupi. Co to za bzdury — zaśmiała się — Jaka uchatka, jakie zęby, przestań tańczyć — Bo co, boisz się konkurencji. – Nie bądź śmieszna. To ty jesteś. Pocałuj mnie w usta. Mocno. Albo lekko. Letko? Powtarzasz się. I to znowu. To utarty chwyt — znam go. Spojrzała. Weszła do mieszkania — Trochę zimno. Chodź, połóż się. Nie chcę. No chodź, proszę.

Każda rysa, każda skaza na jego metalowym obojczyku. Polerowała go godzinami i nic nie schodziło. Zostaw, nie poleruj. Ale ona nie słuchała. Dziewczyna nie słucha, żar z rozżarzonego jej brzucha bucha. Jak u wariatki. Uchu, uchu. — Nie śmieję się. To nie jest wcale śmieszne. Mówię ci. No mówię. Byłoby. Rysy są fajne. Nie chodzi o góry, ale o takie pęknięcia. Jak te tu. — Wcale nie — odwrócił się na drugi bok. — Głupia jesteś. Uchu, uchu. Byłoby. W końcu by się udało. Każdy byłby zadowolony. Rozpoczęłoby się jak jakaś bajka. Nie, lepiej jak baśń. Taka dla dorosłych. On, ona i uchatka. Nie myślisz, że to mądre. I tak nic z tego nie wyjdzie. Lepiej pójść do domu. Zapomnieć. Wyjść

na miasto. Pójść na dyskotekę. Zostawić go i nie wracać. Jakże to meloromantyczne. Byłoby.

Gdyby chciała. Gdyby chciał. Nie puszcza pawia. Lata. Od pokoju do pokoju. Wkurzona. Rzuca czymś. Tańczy. Podskakuje. Klaszcze. Gubi się. Gubi krok i przewraca. Nie będzie dziś spać razem z nim. On też nie czuje się najlepiej. W skali zero sześć jest dupiasta dwójka. Statystyki mówią, że będzie źle. Czy ten pan i pani są w sobie. *Ale, że co?* Byłoby lepiej, jakbyśmy zatańczyli. Nie sądzisz. Jak w telewizji. Jak z Maserakiem. Bądź mym Maserakiem — krzyczał. — Pragnę. Pojawił się w nim ten pierwiastek, ten gejski. Współczesny, wymysłony był. Podobno każdy tak ma po spojrzeniu na Maseraka. Co ty mówisz. O czym ty debilko piszesz. Zabawne, prawda. Byłoby dowcipnie. Znacznie dowcipniej niż teraz.

I najlepiej by było, gdybyśmy wyszli na ulice. Wszyscy i tańczyli. Tańczyli z uchatką. Tańczyli, nie przeżykali, nie pluli. Nie wstawali, nie myli się, nie krzyczeli. Nie myśleli o jakiś debilizmach. W tańcu z uchatką z zębami. Jak nikt wcześniej, jak — po prostu tak bardzo niesamowicie. Nieskończenie. Śmiało. Nieśmiało nie można. — Mówię, dać ogłoszenie — wszyscy tańczmy, skaczmy. Tańczmy meksykański taniec ludowy. Tak ambitnie podejźmy do tematu. Chociaż raz w życiu. Nie spieprzmy tego. Nad ranem rozpoczęliby granie. Być może. I krzyki. Krzyki z każdego z balkonów. Na każdym osiedlu. Na całym świecie. Mężczyźni i kobiety. Starcy i dzieci. Tańczmy razem. La, la, la. Uchu, uchu. Tańczymy. Uśmiechajmy się. Lewa, prawa, podskok. Tańczmy jak nikt nigdy. Jakby to był koniec. Jak stary Azjata i stara Azjatka. Jakby nic się nie stało — stało się. Tańczmy, wszyscy, no wszyscy. Pani też, pan też. Mówię. No mówiłaby. No wstańcie, tańczcie. Razem. La, la, la, la la. Jeszcze będzie dobrze. Jeszcze nie koniec. To nie prawda, może się zdawać. No tańczcie. Jak w Meksyku. Jak najpiękniej, najlepiej. Najskoczniej. Jak na zawsze. Bez przeżykania, bez wypływania. Uchu, uchu.

wiersze cudem odnalezione, z lat 2000–2002

OLGERD DZIECHCIARZ

LA SZKŁEM GLÓNOJAD

szara eminencja której nikt tak do końca nie rozgryźł
na nic pisanie na niego donosów bo drań ma możnych
protektorów niby cały boży dzień nic tylko je ale kto
go tam wie co roi mu się pod łuskami w łbie

nie jest efektowny nie zna języków więc skąd ten
charyzmat i tłum płynących jego śladem ryb

z pozoru nieokreślony nijaki nieefektowny może
współpracuje z wywiadem może władzy napsuł krwi

albo jest pływającym blefem skuterem śnieżnym w lecie
antylopą poza stadem pustym ulem porzuconym płodem
no niemożliwe żeby był zwykłym glonojadem
musi być coś tajemnica może kiedyś wyjaśni to IPN

PRO- PORCZY- KOWIEC

lubi zgromadzenia i zebrania
i pierwszy pcha się do
sztandaru i medalu

nie wybrali go do rady
wyrzucili z komisji
więc oflagował się i żuje wargę

bez władzy a jak władza
psuje się od głowy

mówi że zna tylko prawdę
i transparentny jest jak krajobraz

nie wolno mu wybaczyć
że nie wierzy w hasła

jakby kierunkowskaz
wskazywał złą drogę

na starość robi się
zupełnie przeźroczysty

cały wyrzeźbiony z wody

DAKIO PRĘGÓ- WARTĘ

zazdrości brzance sumatrzańskiej
poziomych pasków
bo są modne i wyszczuplają talię

wygląda jak zmrużone oko
jakby spał
na nudnym filmie

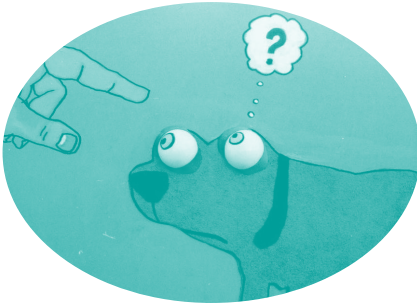
bezszelestnie opadają
rureczniki na dno

danio chwytą je
bez mrugnienia okiem

jest czujny
i na każdą okazję

po udanym dniu kładzie się spać
zawsze w tej samej piżamie
na brzuchu jak bezbronny niemowlę

JOANNA LECH



Antek Wajda
PSY RASOWE I PODRASOWE
2002/2003

WYSTARCZY

Zmęczenie wychodzi ze mnie, jak z tego psa, którego minęliśmy
na poboczu drogi, pamiętasz; zakręt za mostem, miarowy szum.
Krew wypływała z niego ciemniejsza niż rzeka.

Paruje na mrozie i już się nie mieści w żadnych granicach, ścieka
z asfaltu w zasy, prosto do twoich ust. Wlewa ci się do głowy.
To będzie z nas jeszcze wychodzić w nocy, długo będzie w nas tętnić.
Śmierć jest ciszą, wibruje. Pamiętasz, żeby ją zgubić, wystarczy
się tylko obrócić, w ten sen strzelić z procy kamieniem,

tak bardzo powoli, bardzo łagodnie się poddać.



NATALIA ZALESIŃSKA

w wieku czterech lat zobaczyła jezioro łabędzie,
odtąd marzyła, aby zostać jednym z nich.
w świętojańskim dniu zda egzamin, otrzyma dyplom
zawód-tancerz. w złotej klatce będzie zarabiać na życie:
wystudiowaną pozą, oswajaniem dzikich lęków,
skrącaniem skarłałych języków hejterów,
piruetem na lwim nosie.

PS

Z

CZŁŁŁŁ

MAJA STAŠKO

r
a
n
o
p
o
ż
a
r
ł
a
n
m
e
p
z
z
c
ł
a
s
i
e
d
z
e
w
j
e
j
b
r
z
u
c
h
u
i
w
m
a
ł
o
!

JAKUB SCHÖNHOF-WILKANS

PTA- SH

te skrzydła brzmią świetnie
układamy je na wiosnę ze świeżo ściętych gałązek
jeśli wystarczająco szybko wszyje się je w dawcę
nie stracą nawet tego żywego blasku
tak jasne
to ma swoje wady
wiecznie odrastające listki i ptasie gniazda
ale na to wszystko mamy już rozwiązania
albo
pracujemy nad nimi

JAKUB SCHÖNHOF-WILKANS



Antek Wajda
POLICJANCI
2008

zgłoś to na policję ale szybko
psy przylecą na skrzydłach syren
rybiałuska zamiast piór
tak tym się teraz pisze

na oczach klapki
wróżby z brakujących klepek
śnie że się śmieję we śnie
choć nie do śmiechu mi
ani do snu

WĘŻY; BCI MŁY WĘŻY! JAKUB ŻURAW

Zaczarowany furią wrzuciłem go do pojemnika i zaryglowałem pośpiesznie wieko.

Czołem ucałowałem przesiąkniętą deszczem glebę. Nie wiedząc czemu, stłumiłem przy tym szkaradne przekleństwo, z trudem nasyciłem powietrzem spragnione płuca i wściekle zacisnąłem pięść. Walczyłem z napadami zadyszki. Drżący nadgarstek wciąż wędrował do policzków, usiłując kraść nieustannie skraplający się na nich pot. Przynosiło to zaledwie krótkotrwałą ulgę, uczucie kupionej na chwilkę czystości. Palpitacje, bladość i dojmujący strach - ciało bezkrytycznie wchłonęło truciznę paniki, niwecząc plany budzących się do życia systemów obronnych. Istna przejażdżka na karuzeli zmysłów. Zawroty głowy, zaraz uspokojenie, a potem – od początku. Do tego ten niewyimaginowany wcale ból. Cholera, jak piekło, jak szczypało!

Próbowałem pielęgnować złudzenie, że ktoś pomoże, że jak zwykle w jakiś cudowny sposób pokonam nadciągające zewsząd przeciwności. Niestety. Chłodną oceną sytuacji

zaraz wymierzyłem sobie trzeźwiący policzek. Wystarczyło się rozejrzeć. Dookoła tylko przepłatające się dzikie barwy zieleni, słonecznej żółci i prześwitującego przez konary błękitu, konsekwentnie rozmywanego przez sterczące z drzew liany i geometrycznie zachwiane rośliny, których kształtów nie powstydziliby się żaden z mistrzów surrealisty. Towarzyszem mej rozpaczki była dżungla – gęsta, parna od drwin i niepokojąca... wyczekująca.

Czyżby to był koniec?

Dwa precyzyjnie wydrążone w mojej ręce kratery erupowały brunatną krwią; na tak zadane pytanie odpowiadały twierdząco. Rana cuchnęła nieludzko, zionąc fetorem zepsutego mięsa i lekko wyczuwalną już wonią śmierci. Miałem ochotę zatkać nos, jednak byłby to gest pozbawiony znaczenia. Cóż za różnica? Mogłem tylko czekać, aż zainfekowane tkanki zaczną nabrzmiewać fioletem, aż spęcznieją potwornie i przygotują grunt pod procesy gnilne, które na brzeg zmasakrowanej skóry wypłuczą śnięte, zdegenerowane komórki.

Gdzieś w oddali poszybowała wyjątkowo nadpobudliwa papuga.

Przycupnąłem przy pachnącym żywicą drzewku kauczukowca. Z wolna przypominałem sobie encyklopedyczne informacje na temat spotkań z jadowitymi gadami. Ciężko mi było się skupić, okiełznać nieposłuszne emocje. Mózg raz przyspieszył obroty, a raz zwalniał, tętno wbrew woli skakało o tycze. Zmiany krążenia skutecznie wytrącały mnie z równowagi. Zamiast walczyć o koncentrację, zacząłem szeptać pod nosem.

Szaletstwo.

Początkowe przerażenie ustępowało pola desperackim kalkulacjom.

Najbliższe osiedle ludzkie znajdowało się wiele mil od mojego przytułku, najbliższy szpital wiele setek mil dalej, a surowica – to mogła być kwestia znacznie więcej niż

tysięcy kroków. Cała Amazonia. Dzicz, co nagradza wyłącznie najlepszych. Miejsce z charakterem, niemające kłopotów ze spychaniem w przepaść tych, którzy nabierają się na zdradliwe kamuflaże drapieżców albo nie dość głęboko biorą do serca podstawowe zasady przetrwania. Niestety dla mnie, Amazonia gardziła także frajerami, którzy nie patrząc pod nogi, zapatrują się w wielobarwne ptaki, po raz wtóry brnąc w marzenia o beztroskim lataniu.

To zabawne, ale mogłem pożegnać się już nawet nie z lataniem, co ze zwykłym, najprymitywniejszym chodzeniem. Jad gotów był wziąć w obroty wszystkie komórki, tkanki i narządy, zanim doczłapałbym gdziekolwiek. Pozostawała mi godzina jako-takiej sprawności psychofizycznej, zakładając, iż nie będę obciążał organizmu żadnym, dodatkowym wysiłkiem. Bieg po pomoc, raczkowanie po pomoc albo chociaż czołganie po pomoc – mogłem zapomnieć. Trzeba przyznać, że ten zestaw obwarowań nie uszczuplał liczby wyjść z mojej sytuacji... on w zasadzie zaokrąglął je do smutnego, ale i beznadziejnie uczciwego zera.

– Jest tu KTO?! – zakrzyknąłem, raczej nie wierząc w powodzenie tej szybko gasnącej, akustycznej flary. Ogromne płaty wilgotnych liści skutecznie amortyzowały wszelkie dźwięki, mieszając je ze sobą bądź zawracając do mych uszu. Efekt dźwiękowego bumerangu, jak nazwałem to niesprzyjające zjawisko, drwił ze wszelkich, podejmowanych przeze mnie wysiłków.

Co zabrałby pan ze sobą na bezludną wyspę? Och, dajże spokój... Myśl!

Wędrówka po dziczy oznaczała równocześnie lepszą wędrówkę jadu po arteriach, co nie stanowiło dostatecznie dobrej perspektywy na spędzenie ostatnich, już i tak obłąkańczych momentów życia. Czułem, że dobiegam do linii mety, że już niebawem przerwę niby-zwycięską wstęgę i odbiorę tak niechciany przecież medal, który wręczyć będę mógł już właściwie tylko Charonowi.

W obliczu druzgoczącego braku perspektyw jeszcze wygodniej rozsiadłem się na ściółce, spojrzałem prosto w słońce i postanowiłem godnie rozstać się ze światem. Na siedząco, po turecku, obojętnie. Lepsze to, niż wpaść omyłkowo w brudne wody Amazonki, która w tych stronach szczyciła się mianem obszaru lęgowego krokodyla orinokańskiego.

– A więc wróćmy do ciebie, wężu – zwróciłem się do głównej gwiazdy poranka, która kluczyła bezsilnie po dnie plastikowego pudełka. Założyłem dość nieostrożnie, że mam do czynienia z facetem, co ktoś mógłby obrać przeciw za afront, pierwszorzędną przykład szowinizmu. Miałem to gdzieś. Nie trwałem sam w tych popieprzonych domysłach, nie tylko ja operowałem na niewiadomych. Jak łatwo było ocenić, infiltrując wzrokiem przezroczyste naczynie, cała ta sytuacja upokarzała łuskowatego demona nie mniej niż mnie samego. ON też był zakłopotany. Oboje znaleźliśmy się w potrzasku. – Twoje zachowanie nie było rozsądne. Naraziłeś się bardzo potężnym ludziom – zażartowałem.

Dobrze, że chociaż miałem z kim pogadać. Umierać w samotności – tego bym nie przeżył!

– Tak, to było celne ukąszenie, skoro już domagasz się pochwał – zirykowałem się, korząc jednocześnie przed autentycznym mistrzostwem swego pogromcy. Nie sprostalem Zazarace, jednemu z najmniejbezpieczniejszych zabójców na kontynencie, a to przecież żaden wstyd. – Nie dałeś mi sięgnąć po pistolet ani maczetę, wytrąciłeś z rąk wszelkie atuty. Doceniam to.

Zwierze milczało. Niesprawiedliwe. Mój rozmówca dalej dąsał się za odcisk buta na ogonie, którym dość konkretnie przyspiliłem go do ziemi. Zaslugiwałem na chociaż syk kontrpochwały!

– Zawrzyjmy układ – próbowałem umiejętnie wicić się krętymi ścieżkami ludzko-żmijowej perswazji. – Wiem, że nam, facetom, nie przystoi strzelać ślepakami, ale być może

mam chociaż cię szansę na to, że nie zmarnowałeś na mnie najmocniejszego naboju? Przytaknęła mi cisza. A więc nadzieja... istniała!

– W porządku – stąpałem po bardzo grząskim gruncie. Negocjacje mogły się załamać w każdym momencie, o czym stale przypominał mi pulsujący w ręce ból i zeschnięte na pustynię usta. Szybko traciłem wodę – Mam pewien pomysł. Skoro już los spletał nam tego figla i związał ze sobą, to powinniśmy coś z tym uczynić. - zdrową ręką wydobyłem z sakwy przypasanej do biodra kupiony na targowisku w Rio pordzewiały pistolet. – Jesteśmy połączeni linią życia, węzu. Jeśli tylko poczuję, że wstrzyknęłaś mi te swoje słynne paskudztwo, rozpruję ci tą twoją równie słynną, szpiczastą kopułę. Myślisz, że nie trafię, he? – zapytałem poddenerwowany, bo wąż obśmiał się sarkastycznie. – Obiecuję, że starczy mi sił. Bo widzisz... Wierzę w męską solidarność. Teraz stanowimy jedność. Ginę ja, giniesz i ty, resztę sobie dopowiedz.

Mój łuskowaty rozmówca chyba zaakceptował tę umowę, bo w końcu się zamknął i zaprzestał prób ucieczki z pojemnika. A więc zgoda.

Od zawarcia paktu egzystowaliśmy bez słowa i z niecierpliwością wyczekiwaliśmy rozstrzygnięcia. Z nudów liczyłem przelatujące mi przed oczami stwory, wspominałem członków rodziny i powracałem do tych wszystkich, życiowych sytuacji, w których było mi z jakiegoś powodu głupio. Trochę tego się naczekało, ale wąż mi świadkiem, że w oczekiwaniu na końcowy gong człowiekowi jest i tak wszystko jedno, nawet najgorsze historie smakuje z niemalą satysfakcją.

Myślałem też o węzu i o tym, co on myśli. Nigdy się nie odzywał. Pewnie uważał mnie za kompletnego popaprańca albo... sam nie miał nic ciekawego do powiedzenia. Bo co on mógł mieć za życiorys? Raczej niewymagający rozważań, kontemplacji. Pożreć jedną ofiarę na kilka miesięcy, a potem z przesadnie nabrzmiałym brzuchem wylegiwać się w zaroślach i trawie w nieskończoność wcale nie znowu takie smaczne sierści, kości czy oczy.



Antek Wajda
OBRAZY POSTFABRYCZNE
JEZU JAK MI SIĘ NIE CHCE
2008

Ach, gdyby nie to upiorne słońce, to byłby nawet niezły dzień na umieranie... Nic, może wymyślę wiersz na pożegnanie?

Zamyśliłem się...

Zamyśliłem...

Zamy...

Z...

Cholera.

Plecak padł celem terrorystycznych ataków mikroskopijnych muszek o wilczym apetycie i podobnego sobie robactwa. Z przedniej kieszonki usiłowałem wyłuskać jakąś konserwę, mielone mięso zdadne do spożycia, jednak szybko przekonałem się, że o mój prowiant konkurują ze sobą już dwie wrogie kolonie mrówek. Ani myślały dopuścić do rozdania trzeciego gracza. Za każdym razem, gdy starałem się rozdzielić walczące strony, te łączyły siły i w amoku zaczynały gryźć swego rozjemcę zaciekle. Pokrętna, owadzia logika!

Nienaruszona pozostała tylko przegroda z fiolkami, gumowymi rękawiczkami i przyborami botanicznymi. Nie sądziłem, bym ich miał jeszcze użyć. Mimo zbawiennego skrzepu, który obrósł niedawno śmiertelne rany, niezbyt dobrze radziłem sobie w operowaniu pokąsaną ręką. Zresztą kto chciałby kontynuować pracę po takiej przygodzie? Całkowite wygojenie będzie wymagało czasu. Na szczęście chmury już nie zaprzętały mojego myślowego horyzontu. Lekkie zawroty głowy, które przypalały się zaraz po otwarciu powiek, ostatecznie dały mi powód do radości. Organizm nie tylko walczył. Organizm zwyciężał.

Dżungla wokół świergotała uprzejmie.

Na lekko galaretowatych nogach, wciąż mających w pamięci niedawne trudy i nocne koszmary, zawędrowałem w stronę uwięzionej w pojemniku Żararaki. Tym razem by-

łem bezpieczny. Chwytał na żmiję, tak jak należy, czekał w pogotowiu, a zawieszona przy pasie maczeta lśniła pod naporem dopingujących ją promieni słońca. Jednak tym razem nie miało dojść do przemocy. Jak się przecież okazało, żadna ze stron nie była wrogo nastawiona. Chciałem wypuścić swego przyjaciela na wolność i rozstać się z nim całkowicie pogodzonym - jak to było przyzeczzone.

Gad stłoczył się w kłębek. Nie wykonywał ruchów, nie wydawał żadnych dźwięków i nawet nie zerkał na obmacującego jego celę człowieka. Zwyczajnie-niezwyczajnie... trwał. Wtedy po raz pierwszy mogłem uważnie przyjrzeć się teksturze jego zrogowaciałych łusek, obejrzeć pokrywające go brązowe plamy i na poważnie przestraszyć się groźnej, agresywnie zarysowanej głowy. Był majstersztykiem. Majstersztykiem natury. Na nic jednak brutalne piękno mego niedoszłego rywala.

Od początku wiedziałem, że coś jest nie tak, że rozgrzany do hutniczych temperatur pojemnik zgotował w swym wnętrzu prawdziwe piekło. Ciężko mi było przypomnieć sobie, ile musiałem leżeć obezwładniony, ile czasu pochłonęły moje rozterki na temat życia i możliwości przetrwania. Na pewno dość, aby ugotować Żararakę żywcem, zadusić ją i zamordować niczym bezwartościowego, wyliniałego śmiecia.

Zrobiło mi się głupio.

Wzrokiem poszukałem broni. Nie, nie maczety, a pistoletu, który tkwił w mej zaciśniętej dłoni właściwie całą noc. Podniosłem go spod kauczukowca, który stanowił moje niedawne podparcie i zdziwiłem się ilością potu, jaki pokrywał jego chropowatą powierzchnię. Strach musiał wysączyć ze mnie naprawdę wiele cieczy.

W geście odwagi odbezpieczyłem spust i sprawiedliwie przystawiłem lufę do szczęki. Nie wiedziałem, jak się do tego zabrać, jednak...

Mieliśmy z wężem umowę.

MACIEJ KOTŁOWSKI

CZTERY MILIONY PARCER- NYCH.

Szarik był psem.
Jeździł w czołgu i gryzł Niemców.
Każdy chciał mieć wilczura,
nieważne pies czy suka
i brygadę na sto dwa,
i pojechać na zachód,
i wetknąć flagę,
i przelecieć niemiecką gwiazdkę porno w czarnych oficerkach.

Teraz jesteśmy w domu.
Toster już włączony,
jamnik nakarmiony,
wszystko już zjarane, bo to taka gra.

MIŁOŚĆ

AGATA AFELTOWICZ

Mieliśmy siebie i kota. Jakiś czas temu miał wypadek, zaczął śmierdzieć moczem i przestał być głaskany. Oboje wiedzieliśmy, że miłość ma swoje ograniczenia. Weźmy na przykład taką mnie, zupełnie nagą, wychodzącą spod prysznicza. I tę twoją natychmiastową reakcję. Używasz tego ręcznika?

Nie miałam pretensji. Od dłuższego czasu wyobrażałam sobie wikinków, gdy się ze mną kochałeś. W pewnym momencie przestałeś, a mnie przestało ich brakować. Najbliżej byliśmy w soboty. W lidlu. Wspólnie kupowaliśmy whiskas i wybieraliśmy tę samą pierś. Różową, świeżą, bez sutka. Śmialiśmy się, że jakaś kura oddała życie za naszą komunikację. A potem odszedłeś i zostaliśmy sami. Od tamtej pory nie robiłam już zakupów i każde miau brzmiało jak miało. Miał prawo.

Wyjęłam ze zmywarki czystą łyżeczkę, pomyślałam o czymś miłym i zdecydowanym ruchem wydłubałam sobie oczy. Skończył się pokarm dla kota. Uznałam to za najlepsze rozwiązanie. Kot się naje, a ja nie zobaczę, że jest mu wszystko jedno.

GRZEGORZ KWIATKOWSKI

ŁŁŁŁŁ



Antek Wajda
OBRAZY POSTFABRYCZNE
UWAŻAJ Z KIM TAŃCZYSZ
2008

widziałem kilka trupów w mule w rzece
gdy chodziłem ryby łowić
była wiosna i roztopy
nigdy wcześniej nie kojarzyłem tych czynności
ale zdechłej ryby nie wyciągnąłbym z wody
i tak samo nie wyciągnąłem z niej tych ludzi

GRZEGORZ KWIATKOWSKI

MAŁPY



Antek Wajda
OBRAZY POSTFABRYCZNE
TO MOŻE SZKODZIĆ
2008

białe małpy w termalnym stawie
naokoło stawu jest śnieg
a w powietrzu unosi się para

nagle małpy stają się niespokojne
(pewnie wyczuły że chcą je opisać)

jedna z nich wychodzi z wody i mówi:
jesteśmy białymi małpami
w termalnym stawie
naokoło stawu jest śnieg
a w powietrzu unosi się para

PTAKI SA WOLNE

MAGDALENA GABRYELA KRYTKOWSKA

Mój dziadek był piekarzem. Zawód odziedziczył po swoim ojcu. Przed wojną dziadek posiadał dwie piekarnie. Jedną tam gdzie mieszkał z rodziną, drugą w pobliskim miasteczku. Tę drugą prowadziła moja matka, wówczas młoda, przedsiębiorcza, dwudziestokilkuletnia dziewczyna. Piekarnię na wsi zajmował się dziadek wraz z najstarszym synem. Sklep z pieczywem prowadziła babcia. Dobrze im się powodziło. Wojna wiele zmieniła w życiu rodziny. Bardzo dobrze prosperującą piekarnię w mieście trzeba było zamknąć zaraz po ogłoszeniu wybuchu wojny. Dziadek z niepokojem myślał o piekarni przy domu. Obawiał się wysiedlenia i utraty majątku, jakiego dorobił się ciężką pracą.

Jednak jego piekarnia ostała się. Piekł w niej chleb nawet w czasie niemieckiej okupacji. Przed wysiedlaniem uratowała go najlepsza jakość wypiekanego w okolicy pieczywa. Niemcy właśnie w dziadkowej piekarni zaopatrywali się w chleb. Wcześniej jednak przeprowadzili test. Wszystkim piekarzom przywieźli tą samą mąkę do wypieku, a potem próbowali, który chleb jest najlepszy. Kiedy mieszkańcy wsi zarzucali dziadkowi, że piecze chleb również dla Niemców, zawsze odpowiadał: „Ja piekę chleb dla ludzi”.

Dzieci dziadek miał czworo, oprócz mojej matki jeszcze dwóch synów i córkę. Starszy syn z zapałem hodował gołębie pocztowe. W czasie wojny nie było go w Polsce. Zmobilizowany, zaraz na początku wojny dostał się do niewoli i przebywał w obozie jenieckim na terenie Niemiec niedaleko granicy ze Szwajcarią. Uciekł tam, przedostał się przez Francję, do Anglii. Do końca wojny służył w armii generała Andersa. Pod nieobecność wujka gołębiami zajmował się dziadek.

Hodowla gołębi pocztowych w czasie wojny była zabroniona. Nie wiem, pod jaką to karą; myślę, że surową. Może groził za to obóz koncentracyjny, może więzienie? Było to niebezpieczne, ale dziadek wcale nie spieszył się ze zlikwidowaniem hodowli. Gołębnik znajdował się na strychu domu, akurat nad pomieszczeniami piekarni. Ptaki miały tam ciepło. Królowały wśród nich wspaniałe okazy rzadkich wtedy pawików.

Gołębie były piękne, ale administracja niemiecka nie pozwalała Polakom ich hodować, wobec czego zaraz na początku wojny zgłosił się po nie, osiedlony w sąsiedniej wsi Niemiec. Znał się na ptakach. Był zapalonym hodowcą. Pawiki spodobały mu się od razu. Dziadek kłął pod nosem, bo był człowiekiem popędliwym, ale gołębie oddał. Nie mógł narażać rodziny. I bez tego mieli kłopoty. Dzieci dziadka chciano wywieźć na roboty do Niemiec. Musiały ukrywać się po okolicznych wioskach, często zmieniając miejsce pobytu. Dziadek bał się też, że straci piekarnię. Kiedy więc pewnego wieczora Niemiec przyjechał po gołębie, dziadek ptaki połapał i oddał. Zapytany przez babcię, co mruczał pod nosem, kiedy je oddawał odpowiedział: „Wróć, nie martw się”. Ale babcię akurat ta dziadkowa pewność zmartwiła.

Dziadek nie mylił się. Bo choć trzymano jakiś czas gołębie w klatkach, to jak tylko je wypuszczono, wróciły. Niemiec nie dał za wygraną. Szybko po nie przybył. Jak po swoje. Przyjechał bryczką. Groził. Kazał gołębie złapać i ponownie zarekwirował. Tym razem trzymał je dłużej w zamknięciu, mimo to zaraz po otwarciu klatek gołębie wróciły do dziadkowego gospodarstwa. Obsiadły dach domu i piekarni. Dreptały dumnie po podwórku. Zaglądały do stajni wyszukując rozsypane ziarna owsa. Babcia patrzyła na nie

zatoskana, dziadek z ukontentowaniem. Przemawiał do nich. Cieszył się, że wrócili, choć nie miał wątpliwości, że nie na długo. Wyglądało na to, że dziadek toczy swoją prywatną ptasią wojnę z okupantem.

Kiedy po raz trzeci niemiecki gospodarz przyjechał po gołębie, był zły. Widać było jak narastała w nim wściekłość z powodu przegrywanej z dziadkiem rywalizacji o ptasie względy. Gołębie zabrał, a dziadka zapewnił, że i tak będą jego, nawet gdyby miał im podciąć skrzydła. Wtedy dziadek poprosił, żeby tego nie robił, obiecał nawet, że jeżeli wróci, on sam odwiezie je do nowego właściciela.

Długo nie było widać w okolicy wujkowych pawików. Dziadek martwił się, czy też Niemiec nie spełnił groźby. Aż tu, któregoś dnia przybiegł do niego czeladnik piekarski z okrzykiem: „Panie majster, niech pan tylko wyrzyj na drogę, czegoś takiego jeszcze, jak żyję nie widziałem!”

Dziadek zaciekawiony, ale i zaniepokojony wyszedł przed dom. Spojrzał w kierunku rynku, niczego ciekawego nie zobaczył. Odwrócił głowę w drugą stronę, na drogę, gdzie całą szerokością brukowanej kocimi łbami szosy szło stado gołębi - wujkowych pocztowców. Szły na piechotę. Dreptały wycieńczone. Miały powiązane skrzydła. Sznurki mocno wrzynały im się w grzbiety. Pazury miały pozdierane. Szły zbitym stadem prosto do bramy, gdzie dziadek przechowywał konną platformę, którą woził z młyna mąkę na chleb.

Na widok wracających piechotą ptaków dziadek rozplakał się. Babcia zaszyła się w najciemniejszym kącie domu. Nikt tego dnia w piekarni nie mówił o niczym innym. Gołębom rozwiązano skrzydła. Dziadek głąskał i prostował ich lśniące pióra. Obiecywał, że ich nie odda. Wypowiedział wtedy słowa, które do dzisiaj pamiętają w naszej rodzinie: „Nie dam, i niech się dzieje wola boska”.

Trzy dni cała rodzina w napięciu i strachu czekała na reakcję Niemca. Kiedy ten wresz-

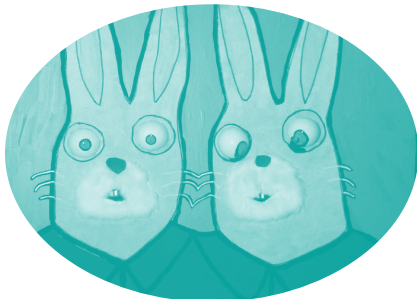
cie przyjechał, zawołał dziadka i zapytał czy gołębie wróciły i w jakim są stanie. Dziadek niczego nie ukrywał. Twarz Niemca była bez wyrazu. „Niedobrze” - pomyślał dziadek. Mimo to, spojrzał na Niemca i powiedział: „My, ludzie, mamy wojnę, ale ptaki są wolne”.

Zobaczył zły błysk w jego oczach. Przestraszył się. Zamilkł. Niemiec nie zmienił wyrazu twarzy. Spojrzał na dziadka i nieoczekiwanie przytaknął: „Tak, ptaki są wolne” - i odjechał.

Jeszcze przez kilka tygodni cała rodzina obawiała się skutków ptasiego przywiązania. Dzieci dziadek porosły do okolicznych wsi. Cenniejsze przedmioty przekazał rodzinie i znajomym, żegnał się z wolnością. Cekał, na to, co zrobi Niemiec. Gołębie trzymał w zamkniętym gołębniku. W końcu zaufał Niemcowi. Wypuścił gołębie. Zatoczyły piękne koło i usiadły na dachu piekarni. Były wolne.

Po zakończeniu wojny wujek wrócił do kraju, do rodzinnego gniazda, podobnie jak jego gołębie. Krótko cieszył się wolnością. Został aresztowany. Kiedy wyszedł na wolność nie było już piekarni. Została zamknięta. To nie były dobre czasy dla prywatnej inicjatywy. Wujka mundur i charakterystyczny beret, z którego to ubioru nie zrezygnował, wzbudzał wśród mieszkańców wsi niechęć, którą znosił ze spokojem. Nigdy już nie pracował jako piekarz. Poszukał sobie innej pracy, lecz nadal hodował gołębie pocztowe. Nie było zakazu.

Niedawno, porządkując na strychu stare szpargały, znalazłam zapisaną ręką wujka księgę gołębih przelotów. Już miałam ją wrzucić do pieca, kiedy przypomniałam sobie tę historię z czasów wojny. Zostałam księgą, choć w naszej rodzinie nikt już nie hoduje pocztowych gołębi.



Antek Wajda
OBRAZY POSTFABRYCZNE
SKŁADASZ SIĘ Z NAMI?
2008

AGNIESZKA ZIĘTARA



spoglądał jak zwierzę
oddalone od lat
w oczach odbijał się
mrok i coś jeszcze
coś ze zwierzęcej strony
mówi w moją stronę

to zwierzę martwe
i puste w człowieku
porzucone bez imienia

śniło mi się
najbardziej śmiertelne
zakończenie
my
pochowani
w ciałach

ZŁE-
ŁÓŻNE
BŁY

MARTYNA FRANKE

grzeszność
przeciąga się w moim ciele
futrem czarnego kota

zielone oczy
budzą ją
nadchodzi ochota

pech chciał że
grzeszność kaleczy mnie
szponami kota

ale uważaj
grzeszność nie śpi
gdy usypia cnota

BEZ RA PLAŻY

VERA CORE

Ryby omijają przynęty
kiedy pojawiają się w ciszy

Kraby wyrrywają rzęsy
kiedy próbują powstrzymać przyływ

Mewy srają na łapy
kiedy układają piórka

Kaczki ucinają fale
kiedy startują niespodziewanie

Sikorki umierają pod nogami
kiedy próbują za prędko gnać

PO- ZO- RY

PAWEŁ KUŚ

Kiedy spytałem:
"wiesz czym różni
się od ciebie
to krzesło"
odpowiedziałeś mi:
"wiem
ja nie mam
na ciele barokowych
zdobień"
i twoja odpowiedź
była poprawna
choć spodziewałem się
że usłyszę:
"ja nie mam
czterech nóg"
a tak by powiedział
każdy inny mówiący pies
który wpadł pod tramwaj.



Antek Wajda
I ZMUSZAM SIĘ CELOWO
2003

SLAŚ

ŃA

a przy wejściu do domu
zobaczyłem biedronkę.

Bardzo to cieszy,
że tak dobrze widzę,
i że była z plastiku.

DRZE-

BIERUT JACEK

WACH;

FUNDACJA
NA RZECZ
KULTURY
I EDUKACJI
IM TYMOTUSZA KARPOWICZA

TAJNE
KOMPLETY

gyyethy

CEGŁA

Redaktor Naczelny
Bruno Lef Lewin

Redaktor Prowadzący
Karol Pęcherz

Skład & design
gyyethy
Karolina Maria Wiśniewska

Ryciny
Fragmenty obrazów Antka Wajdy

Wydawca
Fundacja na Rzecz Kultury i Edukacji
im Tymoteusza Karpowicza

ISSN
1896-2637

Adres do korespondencji:
Księgarnia Tajne Komplety
50-107 Wrocław, Przejście Garncarskie 2

redakcja@magazyn-cegla.net

www.magazyn-cegla.net

Magazyn jest dostępny
w Księgarni Partnerskiej DSW
Tajne Komplety

www.tajnekomplety.pl

CEGŁA 25
ZŁWŁE
RZĘTA



Magazyn finansowany przez
Wydział Kultury Gminy Wrocław
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego



WROCLAW 2016
Europejska Stolica Kultury

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

